

— Boisz się? — spytał roztrzęsiony syn Aminy i Yusufa.
— Czy ja wiem? Chyba nic nie czuję.
— Wiesz, że jesteś tutaj spaleni?
— Wiem, ale chuj z tym. Dojedziemy ich — przemówił zmotywowany Samuel, zmierzając w kierunku toalety.

— O, kurwa! Skąd masz broń?
— Ojciec kolekcjonował swego czasu.
— Nigdy o tym nie wspominałeś.
— A pytałeś?
— Chyba nie.

— No właśnie, więc teraz posłuchaj. Zrobimy tak: ty zostaniesz w kiblu, a ja wjadę na matkę, dwadzieścia minut później, i powystrzelam tych patałachów. Rozjebię tyłu, ilu się uda, a później uciekniemy.

— Jak chcesz, brachu. Ufam ci, bezgranicznie, naprawdę, więc nie spierdol tego, proszę.

— Nie bój żaby, będzie dobrze — zakończył Samuel, sprawiając wrażenie pewnego siebie.

Kilka minut później wszedł do klasy. Oczy wszystkich były zwrócone tylko i wyłącznie na niego. Uczniowie podśmiewywali się pod nosem, spoglądając jeden na drugiego.

— Dzień dobry, przepraszam za spóźnienie — powiedział, kładąc plecak na podłozę.

— Pedał! — krzyknął „Łysy”.

— Dzień dobry. Czy chcesz nam o czymś powiedzieć? — zapytała nieświadoma nauczycielka, przywitawszy się ze spóźnialskim.

Sami był w amoku, toteż niczego nie słyszał. Rozglądając się po klasie, nieoczekiwanie przycupnął, po czym zanurkował

w swoim bagażu i wyciągnął broń. To był izraelski pistolet maszynowy, tak zwany Uzi. Chłopak bez zastanowienia nacisnął spust, robiąc wielki hałas. Ci, którzy zdążyli paść na ziemię przed wystrzałem, przeżyli, za to pozostali... zginęli na miejscu. Strzelał aż do wyczerpania amunicji. Wśród denatów znaleźli się między innymi Konrad, „Wasył”, „Szczena”, pani magister i Jola. Łącznie zabił siedemnaście osób. Krew była dosłownie wszędzie, a on stał i przyglądał się umarlakom, delektując się ich śmiercią. Nie słyszał ani krzyków, ani płaczu tych, którzy ocalili. Po prostu odpłynął. Niedługo później do klasy wtargnął przerażony Teofil.

— Gliny zaraz tu będą. Spierdalamy! — zakomunikował, odczuwając nagły przypływ adrenaliny.

Wówczas syn organisty siedział pod tablicą, kołysząc się w tył i przód. Na widok przyjaciela wyciągnął rewolwer marki Smith & Wesson, który trzymał w tylnej kieszeni spodni, i przystawił sobie do głowy.

— Teo, kurwa, ja już nie mogę! To wszystko jest bez sensu. Bez sensu, rozumiesz? Nie chce iść do pierdła, nie chcę tam iść. Żegnaj, przyjacielu — wybrzmiał po raz ostatni, odbierając sobie życie.

— Neeeeeee! Kurwaaa, nieeeeeee! Każdy, tylko nie ty. Ja pierdolę, Sami. Neeeeeeeeee! — rozpaczal Teofil, klęcząc i opłakując odejście swojego serdecznego kolegi.

Początkowo syn państwa Muntari trafił do aresztu, ale nie posiedział tam zbyt długo, ponieważ uratowały go zeznania, jakie na komendzie złożyła Zosia, opowiadając mundurowym calusieńką prawdę, wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

A co Ty, mój drogi Czytelniku, o tym wszystkim sądzisz? Czy Samuel postąpił słusznie? Zabił tak wiele osób... Gdyby nie popełnił samobójstwa, winien pójść do więzienia? Myślisz, że był psychopata? A co z Teofilem? Czy powinien pomóc śmierć przyjaciela? Być może powinien siedzieć za kratkami? Jakie są Twoje pierwsze myśli? Co czujesz w ciele? Przypatrz się temu bardzo uważnie. Tym wszystkim uczuciom tudzież emocjom, jakie Ci teraz towarzyszą. Potrafisz je nazwać? I bardzo dobrze, super! To teraz wyobraź sobie, że jesteś jednym z poszkodowanych chłopaków. Stojąc przed całą klasą, zostajesz zmuszony do uprawiania miłości. Wszyscy szydzą z Twoich narządów płciowych, wyzywając Cię od najgorszych. Odczuwasz przerażenie, strach, wstyd, poniżenie, zażenowanie, upokorzenie... Tracisz poczucie własnej wartości i szacunek do samego siebie. Leżąc na podłodze, wiesz, że nic już nie będzie takie samo jak wcześniej. Co dalej? Zostawisz wszystko, jak gdyby nic się nie stało, czy opracujesz konkretny plan działania? Plan zemsty, żeby była jasność. A może pójdziesz na policję i doniesiesz na swoich rówieśników? Wówczas zachowałbyś się jak przykładowy obywatel tego kraju, ale przecież nie masz żadnych dowodów na to, co się stało. Myślisz, że ktoś się wstawi za Tobą, że zacznie sypać na kumpli, narażając się reszcie grupy? Będąc w amoku, masz milion myśli na sekundę, a jedną z nich jest to, że Twój tata jest szczęśliwym posiadaczem broni palnej, którą trzyma w domu. Chcesz, aby sprawiedliwości stało się zadość, prawda? Jednak nie zwrócisz się do rodziców z prośbą o pomoc, ponieważ wstydzisz się tego, co zaszło. I jest to całkowicie normalne, zresztą nie muszą przecież o wszystkim wiedzieć. Jaki będzie Twój następny krok? Czy już wiesz? Wła-

ściwie to zejdzmy jeszcze głębiej... A gdyby ktoś zgwałcił Twoje dziecko? I to na Twoich oczach! Opuścisz temu komuś czy zabijesz gołymi rękami? Wczuj się w sytuację, przeżyj ją całym sobą. No i co chcesz w końcu zrobić, mój kochany Księgoznawco? Tak wielu z nas ocenia drugiego człowieka na podstawie tego, co widzi lub słyszy na jego temat, nie zastanawiając się wcale, co ten człowiek czuje, przez co przeszedł, jaką wewnętrzną walkę toczy z samym sobą, dlaczego zachowuje się właśnie tak, a nie inaczej... Zanim ocenisz, to najpierw zrozum.

Teofil mocno przeżył to, co się wydarzyło ostatnimi czasy. Najpierw został upokorzony na oczach rówieśników, następnie jego jedyny przyjaciel popełnił samobójstwo. Państwo Muntari przepisało swojego syna do innej szkoły, jednakże to nie uchroniło go przed depresją. Młodzieniec zamknął się w sobie, nie chciał z nikim rozmawiać. Większość wolnego czasu spędzał we własnym pokoju, słuchając melancholijnej muzyki i wpatrując się w ścianę.

— Teo, może wyszedłbyś na rower? Dawno nigdzie nie byłeś — zapytał któregoś razu Yusuf, siedząc przy rodzinnym obiedzie.

— Nie chcę.

— Ale dlaczego? Co z tobą? — wtrąciła się matka.

— Nie, i chuj! — wrzasnął siedemnastolatek, waląc pięścią w stół.

— Synku, uspokój się. I trochę więcej kultury, bo mama ma rację. Mógłbyś od czasu do czasu zaczerpnąć świeżego powietrza. Poza tym idzie zima, więc korzystaj z pogody — rzekł ojciec, kontrolując sytuację.

— Czy wy naprawdę niczego nie rozumiecie? — odrzekł Fil.

— Rozumiemy więcej, niż ci się wydaje i właśnie dlatego kupiliśmy z myślą o tobie książkę.

— Dla mnie?

— Tak.

— Ale jaką i po co?

— *Narzędzia rozwoju osobistego* — oznajmiła zmartwiona Amina.

— Poco to sie nogi noco. Przeczytaj, zaufaj mi — dodał żartobliwie ojciec, by po chwili wręczyć synowi poradnik rozwojowy.

— Ładnie wygląda. Grzegorz Glinka, co to za typ? — dociekał Teofil, popijając kompot z truskawek.

— Nie wnikaj. Mam takie dziwne wrażenie, że zapomniałeś podziękować.

— Bóg zapłać.

— A ty co, nadal chcesz być księdzem? — szydziła matka

— Oczywiście.

— To może byś tak do kościoła wrócił? Kiedy ostatni raz byłeś?

— Nie pamiętam.

Książka wywarła na Teo niemałe wrażenie. Po przeczytaniu lektury młodzieniec uświadomił sobie, że w życiu wszystko jest możliwe, dzięki czemu poczuł się znacznie lepiej. Był zmotywowany i gotowy do działania, jednakże powracające nieustannie traumatyczne wspomnienia nie pozwalały mu ruszyć z miejsca.

— Ej, tatku! A wiesz, że ten typ od tej książki o samorozwoju, co mi ją kupiliście ostatnio, to ma być niedługo w Polsce? — zapytał któregoś razu.

— Tak? A po co? — ciekawił się rodzic.

— Ponoć ma wystąpić dla niespełna stu tysięcy osób. Na narodowym w Świńskim Ryju.

— Gdzie?

— No w Świńskim Ryju. Tam, gdzie afera korupcyjna była, co jakiś klub zdegradowali.

— Coś pamiętam, ale jak przez mgłę. Nie śledzę polskiej piłki.

— Tato, ale to akurat koszykówka.

— Oj tam, jeden grzyb.

— No, nieważne. Idziemy? Ja bym poszedł.

— Zobaczymy. Sprawdź, po ile bilety można kupić.

— Czekaj, zaraz — przemówił podekscytowany Teoś, uruchamiając swojego laptopa.

— No, powiem ci, że niewiele tych biletów zostało. Prawie wszystkie wyprzedane. Ewentualnie gdzieś w bocznym sektorze albo VIP.

— A po ile VIP-owski?

— Tyle — wyszeptał syn Aminy i Yusufa, pokazując cenę biletu na ekranie przenośnego komputera.

— No, no, ceni się człowiek. Ale, że co? Siedzi się na podgrzewanym krzeselku ze złota czy o co chodzi? — spytał cynicznie ojciec, nie dowierzając własnym oczom.

— Tato, ty to chyba już dawno na żadnym evencie nie byłeś — śmiał się nastolatek.

— Siedzisz pod samą sceną, a w dodatku masz godzinną konsultację następnego dnia. Chciałbym z nim pogadać — dodał po chwili.

— No nie byłem i teraz też nie pójde — przemówił stanowczo Yusuf.

— Czemu?
— Za drogo, daj spokój.
— Jak chcesz, ale chyba dasz mi forszę na bilet, co nie?
— Aż tyle?
— No, tylko tyle.
— Sam nie wiem, ale czuję, że warto.
— Elegancko, to wyskakuj z kasy — zacieszał Teofil, przytulając się do ojca.

W niedalekiej przyszłości syn państwa Muntari wsiadł do pociągu i udał się na największą imprezę motywacyjną w kraju.

— A dokąd to piękny kawaler zmierza? — spytała siedząca przy oknie staruszka.

— Na event jadę — odpowiedział dość dumnie siedemnastolatek.

— Przepraszam, gdzie?! Bo nie dosłyszałam!

— Droga pani, proszę sobie wyobrazić, że jadę do Świńskiego Ryja na spotkanie z Grzegorzem Glinką.

— Z kim?! — podniosła głos niedosłyszająca kobieta.

— No, z Glinką. Z Grzegorzem Glinką! To ten gość, co napisał książkę pod tytułem *Narzędzia rozwoju osobistego*. Jest naprawdę świetna. Czytała pani?!

— Glinkę?!

— Tak.

— Nie znam.

— Naprawdę go pani nie zna?

— Kogo?!

— Kurwa, jeszcze i ona... Dobra, chuj, idę w kimono — pomyślał poirytowany Teo, trzymawszy się jedną ręką za głowę.

Następnie zamknął oczy i zasnął, a gdy się obudził, był już prawie na miejscu. Po starszej pani nie było ani śladu, musiała wysiąść gdzieś po drodze. Jechał jeszcze przez kilkanaście minut, po czym wysiadł na docelowej stacji i zamówił taksówkę, którą dojechał do jednego z hoteli, jakie znajdowały się nieopodal Stadionu Narodowego.

— To tutaj, koniec trasy — oznajmił taksówkarz.

— Sto dwadzieścia złotych się należy — dodał błyskawicznie, zaczawszy obgryzać największego paznokcia u lewej ręki.

— Ile?! — przeraził się nastolatek.

— Sto dwadzieścia, mówię! Sobota jest.

— Aha, rozumiem. Proszę chwilę poczekać, muszę znaleźć portfel.

Po chwili młodzieniec chwycił za klamkę tylnych drzwi i, odczuwając nagły przypływ adrenaliny, uciekł ze starego i zaniedbanego samochodu, w którym miał bardzo wątpliwą przyjemność przebywać.

— Jeszcze mnie popamiętasz, gówniarzu! Jak cię dorwę, to ci nogi z dupy powyrywam! — grzmiał rozwścieczony kierowca taksówki.

— Powodzenia, tłuściochu! — zdążył odpyskować syn państwa Muntari.

Niespełna godzinę później był już pod stadionem.

— Przepraszam, może bilecik chcesz kupić? Pińcet złotych — zaczął go jakiś „konik”.

— Nie, dziękuję. Mam swój — odparł chłopiec.

— To może chcesz odsprzedać za trzy paki? — naciskał nieznajomy.

Krótką konwersacją, do jakiej dopuścili obaj dżentelmeni,

była jedynie stratą czasu, zarówno dla jednego, jak i dla drugiego z nich. Wchodząc na stadion, Teofil odczuwał ogromne podniecenie. Podobało mu się dosłownie wszystko, co widział, jednak największe wrażenie zrobił na nim człowiek, dla którego tam się zjawił. Człowiek ten przez większość swojego eventu mówił na temat Prawa Przyciągania, aczkolwiek nie zabrakło informacji odnośnie samodyscypliny, budowania pewności siebie, planowania, czy chociażby wyznaczania celów. Wisienką na torcie była wspólna medytacja, w której wzięło udział około stu tysięcy śmiertelników. Kolejnego dnia Teoś udał się na godzinne spotkanie z autorem książki, jaką dostał od rodziców.

— Co tam dobrego? — zacząłem w swoim stylu po przywitaniu się z synem Aminy i Yusufa.

— W sumie, to nic. Gdybyś się urodził czarny, to też byś miał całe życie pod górkę — oznajmił Teofil, sprawiając wrażenie mocno przygnębionego.

— Myślisz, że narzekanie na to, co było wczoraj sprawi, że jutro będzie lepiej? — kontynuowałem, patrząc swojemu rozmówcy prosto w oczy.

— W sumie, to nie wiem. Przepraszam, ale jestem totalnie rozbity psychicznie.

— Rozumiem, strasznie mi przykro. Chcesz o tym pogadać?

— Tak, inaczej by mnie tutaj nie było.

— To nawijaj. Co się stało?

Teo był ze mną całkowicie szczery, nawet uronił kilka łez. Myślę, że nie było mu łatwo mówić o tym, co go tak naprawdę dręczyło, ale dał sobie radę. Wielki ukłon w jego stronę.

— Nikt nam nie dał prawa do tego, aby decydować o życiu drugiego człowieka, ale każdy z nas ma prawo, by żyć po swoje-

mu. I właśnie dlatego wydaje mi się, że powinieneś uszanować decyzję swojego przyjaciela. Taki był jego wybór. Wiem, że ciężko to zrozumieć i jeszcze ciężiej zaakceptować, ale ty też podejmujesz decyzje. Czasem zapewne właściwe, czasami niewątpliwie paranoidalne, jak każdy zresztą. Czy chciałbyś, żeby ktoś — nazwijmy to po imieniu — ładował się z butami do twojego życia? Nie wiem, ale być może lubisz, gdy ktoś cię krytykuje, twoje decyzje, zachowanie, etc. Tak czy nie? — zapytałem.

— Chyba nikt nie lubi.

— Już rozumiesz?

— Chyba tak, ale mimo wszystko dalej boli.

— Przyjacielu, ale co cię boli? Dupsko cię piecze?

— No, nie. To jak mam z tym żyć?

— Zmień myślenie, a zmieni się twoja rzeczywistość... Zamiast opłakiwać śmierć przyjaciela, po prostu bądź wdzięczny za to, że go poznałeś. Za to, czego się od niego nauczyłeś. Za wszystkie chwile, które spędziliście razem, zarówno te przyjemne, jak i mniej przyjemne, bo każda z nich była wyjątkowa. Poza tym każda chwila była dla ciebie jakąś lekcją, więc ciesz się tym, bądź wdzięczny. Pamiętaj, że to był jego wybór, do którego miał prawo, zatem powinieneś to uszanować. Uśmiechnij się do świata, a zobaczysz, że wkrótce świat uśmiechnie się do ciebie. Innego rozwiązania nie widzę. Żyjąc negatywną przeszłością, nie zbudujesz pozytywnej przyszłości. Postaraj się to zrozumieć, bardzo cię proszę.

— Może i ma to sens — powiedział Teofil, uśmiechając się niepewnie.

— A wracając do tego, że jesteś czarny, jak sam powiedziałeś. Chuj z tym. Ja jestem biały, inni są żółci, a jeszcze inni...

różnie to bywa. Uwierz mi, to nie ma żadnego znaczenia. Kompletnie żadnego.

— Nie?

— Bynajmniej.

— Ale jak to?

— No, normalnie. Możesz być pijakiem, narkomanem, degeneratem albo innym elementem społecznym. Możesz pochodzić z najbiedniejszej części świata, mieć jakikolwiek kolor skóry, być bez pracy, tonąć w długach i mieć pretensję do wszystkich o wszystko. Możesz jęczeć, stękać i narzekać. Owszem, możesz, ale nie musisz, bo to, co z tym zrobisz, zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

— Ode mnie? Chyba nie do końca rozumiem.

— Zawsze masz wybór, to ty decydujesz o swoim życiu. Wystarczy tylko podjąć właściwą decyzję, przy czym od razu zaznaczę, że brak decyzji to również decyzja. Po prostu rusz dupę! To wszystko, co powinienesz zrobić — stwierdziłem, śmiejąc się od ucha do ucha.

— Wydaje mi się, że to, co mówisz, ma sens. Dzięki! A wiesz, że kilka miesięcy temu czytałem twoją książkę?

— O! Bardzo mi miło. Którą?

— *Narzędzia rozwoju osobistego*.

— I co, jak wrażenia?

— Szczerze? Zaaarąbista! Aczkolwiek zastanawiam się, dlaczego nic się nie zmieniło w moim życiu od tamtego czasu.

— Myślę, że znam odpowiedź na to pytanie.

— Tak? Zamieniam się w słuch.

— Masz jakieś marzenia?

— Chciałbym zostać księdzem.

- No, spoko. Fajne marzenie, a do kościoła chodzisz?
- Kiedyś chodziłem, ale przestałem.
- Myślisz, że to możliwe, aby zostać sługą bożym bez wędrówki do Przybytku Pana?
- Chyba nie.
- No jasne, że nie. A pamiętasz, co powinienes zrobić, żeby pójść do przodu?
- Ruszyć dupę.
- Dokładnie. Przeczytałeś książkę, być może nawet z wielkim zaangażowaniem, ale czy wdrożyłeś coś z tego do swojego życia? Ja wiem, że ty wiesz, ale sama wiedza tutaj nie wystarczy. Możesz wiedzieć więcej ode mnie. Możesz przeczytać wszystkie książki rozwojowe, jakie są na świecie, ale... jeżeli nie zaczniesz działać, to nic się w twoim życiu nie zmieni. Zupełnie nic, mój przyjacielu. No takie jest życie, a życia nie oszukasz.
- O rzesz kurwa! — wybrzmiał syn państwa Muntari, patrząc na mnie w taki sposób, że poczułem się dość niepewnie.
- Teraz już kumam. Jakie to wszystko proste! Grzechu, czas nam się skończył, godzina minęła — dodał po chwili.
- Teo, zapomnij o czasie, jest tylko iluzją. Chciałbym, abyś wiedział, że w życiu należy cieszyć się drogą, a nie celem.
- Jak mam to rozumieć?
- Pozwól, że opowiem ci pewną historię. Siedzę sobie przy stole pokerowym, wokół mnie znajduje się mnóstwo graczy. Jednym z nich jest mój mistrz. Wóda leje się strumieniami, marihuana, piguły, niektórzy walą w nosa sztosy. Nagle mistrz wstaje i odchodzi. Potrzebuję odpocząć. Powiedział. No i poszedł, aby przemyśleć swoją strategię na dalszy etap gry. Cykor, leszcz, nie ma jaj! Wrzeszczeli pozostali gracze. Nie wracaj,

bo nie masz nic więcej do zaoferowania! Grzmiał ten najbardziej splukany. Siedziałem i obserwowałem, próbując nie oceniać, aczkolwiek ocenianie jest procesem myślowym, którego nie da się zatrzymać. OK, można, ale potrafią to zrobić tylko nieliczni. Co z nim nie tak? Spuchł? Zacząłem się zastanawiać. Przecież to on jest tutaj mistrzem, spokojnie, na pewno wróci, da sobie radę. Pomyślałem. Chciałem go wyczekać, niczym chytry pokerzysta, ale nie po to, aby z nim wygrać, lecz po to, żeby się dobrze bawić. Wkrótce potem wrócił. Pewnym krokiem podszedł do stołu. Zasiadł, spoglądając na wszystkich zawodników, jak gdyby nic się nie stało. Kolejne rozdanie. Za wszystko! Powiedział dość pewnie. I wszyscy sprawdzili, poza mną, a on wygrał. Wygrał kilka kolejnych partii, podczas których zdążyłem wszamać całą paczkę chipsów. Mi się nie spieszyło, więc czekałem, czekałem i wyczekałem, aż w końcu spotkaliśmy się w wielkim finale. Miał więcej żetonów ode mnie, ale siedział obsrany, a przynajmniej takie odnosiłem wrażenie, gdy systematycznie podbijałem stawkę. To co, za wszystko? Zapytałem. Pass. Odpowiedział. Jego wyraz twarzy mówił sam za siebie. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby ktoś tak mocno zalał się potem. W tym samym momencie wstałem od stołu i powiedziałem: dziękuję. Zrezygnowałem z gry. Stwierdziłem, iż wolę cieszyć się drogą, a nie celem. Ta podróż była dla mnie naprawdę wyjątkowa, nieprzewidywalna tudzież pełna wzniosłych uczuć i emocji. Nie zawsze trzeba zgarnąć całą pulę, aby czuć się jak zwycięzca.

— A pieniądze?

— A, to, to, podzieliliśmy na pół.

— Dalej nic z tego nie rozumiem.

— Życie nie polega na tym, że się ma albo nie ma, lecz na tym, że się jest.

— Słucham?

— Odchodząc z tego świata, nie zabierzesz ze sobą żadnych nieruchomości, samochodów, drogich zegarków czy innych kosztowności. Nie weźmiesz nawet starych, podartych spodni, które być może odłożyłeś gdzieś, kiedyś na czarną godzinę.

— Ale ja nie mam takich spodni — rzekł nastolatek, jakby na serio nie załapał, o co biega.

— Przyjacielu, zapomnij o wszelkich tytułach i dyplomach. Twoje ciało, zdjęcia najbliższych, to również tutaj pozostanie. Wszystko, rozumiesz? Wszystko. Jedyne, co twoja dusza zabierze, przechodząc do innego wymiaru, to uczucia i emocje, jakich na co dzień doświadczasz w wielu wydarzeniach, sytuacjach bądź okolicznościach. Negatywne i pozytywne, wszystkie, które jesteś w stanie poczuć we własnym sercu. Wiesz, mam takie wrażenie, graniczące niemal z pewnością, że urodziliśmy się po to, aby uszczęśliwić naszą duszę, a żeby to robić, trzeba nauczyć się odczuwać...

— Dusza, powiadasz. Dobrze prawisz, nie pomyślałem w ten sposób.

— I właśnie dlatego uważam, że cały ten samorozwój jest o kant dupy, ale gdy połączysz go z duchowością, wówczas prowadzi do prawdziwego szczęścia i spełnienia.

Teofil zaczął powoli odzyskiwać radość życia, aż w końcu doszło do tego, że codziennie budził się z uśmiechem na twarzy, a gdy szedł spać, nie mógł doczekać się kolejnego dnia. Młodzieniec bez większych problemów zdał maturę. Pożegnawszy rodziców, wyjechał na studia do Wyższego Seminarium Du-

chownego w Gołodupcach. Wielki budynek, w jakim zamieszkał, składał się z kilku brył i otoczony był ogromnym ogrodem, w którym dominował pewien charakterystyczny styl — proste formy oraz minimalizm w doborze koloru. Gdyby ktoś nie wiedział, seminarium jest domem mieszkalnym dla kleryków, choć nie tylko. To miejsce, w którym alumni przygotowują się do kapłaństwa. Jego fundamentem jest kaplica. Ponadto znajdują się tam sale wykładowe, biblioteka, jadalnia, siłownia, hale sportowe oraz wiele innych pomieszczeń. Teo dzielił swój pokój z Dominikiem, Kacprem i Szymonem. Każdy z nich był inny, w związku z czym uczyli się akceptacji.

— Ej, czemu chcecie służyć Bogu? — zapytał któregoś razu syn państwa Muntari.

— Od zawsze czułem, że moje miejsce jest przy ołtarzu — wyrwał się z odpowiedzią Szymon.

— Wiesz, odkąd pamiętam, to chciałem pracować z ludźmi. Prowadzić ich do zbawienia, do Boga, jest dla mnie największą wartością — oznajmił bez zastanowienia Kacper.

— A ja przyszedłem tutaj po to, aby odkryć swoje powołanie. W ciszy i spokoju. Chciałbym mieć rodzinę, ale chyba gdzieś w głębi duszy czuję, że powinienem zostać księdzem. Studiowałem też marketing i zarządzanie, ale to nie było dla mnie — przemówił Dominik, zmarszczywszy delikatnie czoło.

— Fil, a ty? Co tutaj robisz? — spytał Szymek.

— W sumie, to nie wiem, bo po tym, co zobaczyłem, no to, kurwa, ale ja pierdołę, zacząłem się zastanawiać... Nie tego się spodziewałem, jednak czuję, że powinienem tutaj zostać.

— Ale czemu? Dlaczego? — dociekał Kacper.

— He, he. He, he, he. No, tak czuję, po prostu — oznajmił z radością Teofil.

— Domi, jak myślisz, do kiedy zachowasz celibat? — dodał po chwili.

— Ha! Ha! Jak Bóg da, bracie. Jak Bóg da. Ha! Ha! Ha! — śmiał się rówieśnik.

Przez pierwsze dwa lata panowie poznawali tajniki filozofii. Studia jak studia — kolokwia, egzaminy. Na trzecim roku zaczęła się teologia, w związku z czym każdy z potencjalnych księży mógł w końcu założyć sutannę i koloratkę.

— Teoś, jak właściwie wygląda twój dzień w seminarium? Czy coś się zmieniło? — spytała zaciekawiona Amina, goszcząc syna w rodzinnym domu.

— W sumie, to niewiele. Różnica jest tylko taka, że teraz bardziej przygotowujemy się pod kątem pracy w szkole. To wszystko. Dalej wstaję za kwadrans szósta, potem szybka toaleta, modlitwy poranne, medytacja Słowa Bożego, no i Eucharystia. Śniadanie mamy o siódmej trzydzieści, a wykłady zaczynają się o ósmej. W południe mamy przerwę na rachunek sumienia, ewentualnie, jak ktoś chce, to na modlitwę „Anioł Pański”. Obiad jest zaplanowany standardowo na godzinę trzynastą. Później jest czas dla siebie, aż do szesnastej, ale warto poświęcić go na naukę. Szesnasta trzydzieści wracamy do zajęć, które trwają jeszcze przez niespełną godzinę. O osiemnastej mamy adorację Najświętszego Sakramentu, po czym przechodzimy do kolacji. Pojedli, popili, to...

— Dokładnie, synku, dokładnie. Rozumiem, że masz na myśli czas wolny? — wtrącił się Yusuf, mając na twarzy szeroki uśmiech.

— Oczywiście, aczkolwiek niektórzy mają dyżury, więc robią zakupy, zmywają podłogi, sprzątają toalety, etc.

— I co jeszcze robicie?

— Surfujemy po internecie, gramy w piłę, w pingla, w bi-lard, i... takie tam — rzekł Teo, odwróciwszy głowę w bok.

— Co dokładnie masz na myśli? — naciskała rodzicielka.

— Wybaczcie, ale nie mogę wam o wszystkim mówić.

— Nie szkodzi. Zrobisz z tym, co zechcesz, ale pamiętaj, że łatwe decyzje to trudne życie, natomiast trudne decyzje, to... łatwe życie — stwierdził nonszalancko ojciec.

W sanktuarium raczej nikomu nie brakowało czasu na to, aby rozwijać swoje pasje. Niektórzy klerycy spełniali się, prowadząc własne kanały na platformie YouTube, inni zaś realizowali się, dzięki temu, że przynależeli do chóru kościelnego lub coś w ten deseń. Byli też tacy, którzy odstawali od norm społecznych, zachowując się skandalicznie i karygodnie. Ci ludzie nie znaleźli uznania w oczach syna państwa Muntari, który postanowił na nich dyskretnie donosić, wysyłając anonimowe skargi, zarówno na policję, jak i do kurii. Treść jednego z listów brzmiała: „Uprzejmie informuję, że w Wyższym Seminarium Duchownym w Gołodupcach dochodzi do stosunków seksualnych pomiędzy alumnami. Zauważono też nadużycia seksualne wobec dzieci i młodzieży, jakich dopuścili się katolicyści księża. Z pozdrowieniami, Dobry Duszek”. Niestety, ale nikt nie zareagował...

Na piątym roku studiów Teofil dzielił pokój z Piotrem i Pawłem, do których początkowo nie miał żadnych zastrzeżeń. Klerycy mieli mnóstwo wspólnych zainteresowań, co sprzyjało temu, aby między nimi wytworzyła się szczególna więź. Przy-

wołany do porządku syn Aminy i Yusufa zaczął wreszcie przy-
mykać oczy na pewne sprawy, które od czasu do czasu wymyka-
ły się spod kontroli. Pewnego wieczoru został wyznaczony
do zmywania jednego z korytarzy. Pracując, natknął się na pod-
ekscytowanych przyjaciół.

— O! Teoś! Idziesz z nami? — zapytał pierwszy z nich.

— Dokąd?

— Na dziwki, Teoś. Na dziwki — oznajmił drugi.

— He, he. Nie mogę, mam dyżur.

— Nie ma problemu. Skoro nie możesz iść na dziwki,
to dziwki przyjdą do ciebie — kontynuował Paweł, spoglądając
beztrosko w kierunku wyjścia.

— Ha! Ha! Ha! Dokładnie! — zakończył Piotrek.

Kilka godzin później „Picia” i „Pablo” wrócili z burdelu,
przyprowadzając ze sobą rosyjską prostytutkę o imieniu Daria.
Dziewczyna ledwo stała na nogach, zresztą chłopaki tak samo.

— I co teraz, „Święty”? — wybełkotał Paweł, spoglądając
na Teofila.

— Dawaj, na trzy baty ją zrobimy! — zaproponował urado-
wany Piotrek.

— Do paszczu pjadzjesiat, w żopu sto — przemówiła bladź.

— No chyba was pojechało do reszty! Idę się przewietrzyć.
Jak wrócę, to tej kurwy ma tutaj nie być! Rozumiemy się?! —
grzmiał rozdrażniony Teo, nie dowierzając własnym uszom
i oczom.

Wychodząc, trzasnął drzwiami. Poszedł do ogrodu,
aby w ciszy i spokoju zastanowić się nad swoim powołaniem,
bo jak by nie było, spodziewał się zupełnie innego życia w semi-
narium.